

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Jeżeli zajmujące są opisy krajów odległych, niemniej warte uwagi bliższe i bliżej nas obchodzące kąty Europy, mało zwiedzane, więc nieznanie prawie. Niema tu miast wielkich, rzek znakomitych, głośnych ludzi; ale są wsie zamożne, rozkosznie położone; miasteczka z pamiątkowemi murami, zamczyska romantyczne, okopy, dawne obozowiska. Ziemia bogata roślinnością, nierazdko gurbi się mogiłami. Jest wał kilkadziesiąt mil długi, zwany wałem Trajana. Rzeki, jeśli nie pierwszorzędne, to dlatego że zaniedbane. A ludzie?—ludzie, jak wszędzie. Od panów siedzących w pałacach do zagonowego rolnika, rozmaite stopnie drabiny społecznej. I tu odgrywają się dramata życiowe. Jest tło do zajmujących opisów i nauki. Są ludzie pracy, światli, szczerze pracujący dla społeczeństwa. Jest rolnik uczciwy, prosty, skromny, ale ma rozum w miarę potrzeby. Postęp ogólny ma echo tu i może prawdziwe ocenienie. Kilka rysów tego ustronnego kraju przesyłam redakcyi.

Okolica nad Wołkiem.

Rzeka tego nazwiska poczyna się od wsi Wołkowiec. Pierwsze zbiorowisko wody widać w rozległym moczarze; brzegi tego moczaru równe, czarno-ziemne. Pod wsią Karpowcami nowy przyciek powiększa masę wody, a w Szumowcach staw na Wołku zajmuje już sto morgów. Ztąd rozległym przestworem, tworząc łakę użyteczną, po pod wsie Kołybanie, Bohdanowce, gdzie go przecina nasyp kolei żelaznej, idzie do miasteczka Derażni i rozlewa się tu ślicznym stawem zajmującym tysiąc morgów. Staw Derażeński ma młyny większego rozmiaru. Wielka szyba wody wygląda jak odlew przymorski. Obfituje w ryby. Niezmierna ilość ptaków wodnych ożywia go. Są tu już wydry, kaczki i gęsi dzikie, a nad brzegami tłumy żurawi i dropi. Śliczne te ptaki, wielkiemi stadami obsiadają przyległe pola. Wyborne jako pokarm, szczególnie dropie; robią niemałe szkody w zbożu. To też rolnicy okolicy wyprowadają im walkę. Bekasy, dubelty, kulony licznie obsiadają kępiny; dla łubowników myślistwa doskonała

miejscowość. Od Derażni Wołk coraz większy; w każdej wsi zajmowany pod stawy; pod Latyczowem, a bardziej zaraz za Latyczowem, w osadzie Szczochowa wpada do Bohu. Od miasteczka Michałpola i wyżej zbiera się mniejsza woda zwana Wołczkiem; tu pod Dereżnią wpływa do Wołku, przebiegłszy kilka mil i ożywiwszy łąki podobne do podwołczeńskich. Lasy już znacznie przetrzebione, jednak jeszcze w poważnej massie, zdobią i upożyteczniają kraj. Po większej części składają się z grabów, lip, jesionów, jaworów; gdzieniegdzie dęby, szczególnie pod Ziańkowcami tworzą oddzielne lasy, zwące się dębinami. Pyszny to las jeśli dobrze utrzymany. Każde drzewo prawie proste, zdrowe, silne, dźwiga się na czterdzieści łokci. Ziemia zwykle pod takim lasem doskonała. Obrócona pod zasiew wydaje wielki plon i obchodzi się bez nawozu lat wiele. Rozkoszny pobyt w tym lesie, szczególnie w drugiej połowie maja, w czerwcu i aż do października. Obfitość kwiatów różnej barwy, grzybów prawdziwych i podrzędnych, miła zieleń i tęgość liści, obfitość żołądki, cisza ptaków, spotykane sarny, od kilkunastu lat znacznie rozmnożone; częste dziki, które od krymskiej wojny zjawiły się, urozmaicają i ożywiają scenę. A las sam dębowy, to kapitał. Są drzewa wartujące kilkadziesiąt złotych, a liczą się na wiele tysięcy.

Właściciele ziemscy wszyscy prawie dawnym obyczajem sło-wiańskim mieszkają po wsiach. Klasa bogatsza i średnia nawet pobiera nauki w wyższych szkołach krajowych i zagranicznych. Wielu jest ludzi oświeconych, lubowników nauki. Mało kto szuka kariery w wielkich miastach. Zwykle skończywszy kształcenie się, możniejsi zwiedziwszy zagraniczne zakłady, wracają do swych wsi, żenią się i pracują na roli. To też znajdziesz tu domy z wielkim komfortem. Pałaców rzadko, chociaż są; ale porządnym dworów, obszernych, wygodnych gęsto. Ogrodów dość ładnych: nabujne drzewa, świeże trawniki, umiejętnie prowadzone ulice, a nadewszystko massa kwiatów. Jest kilka ogrodów urządzonych przez Miklera, głośnego ogrodnika. Sądów, wielkich jak lasy, wiele. Lasy nawet, pełne dzikich jabłoni, grusz, a nadewszystko czereśień. Z pierwszym braskiem wiosny, gdy zakwitną różowo-białym kwiatem, sądziłbyś, że to nie lasy, ale ogrody.

I warto tu pracować na wdzięcznej glebie. Znana na wszystkich rynkach Europy tutejsza pszenica, jest pierwszego gatunku. To też wzięwszy pod rachunek, kilkanaście tylko wsi, gdzie gdy niema jakiej kłęski, rodzi na morgu ośm do dziesięciu i więcej kóp; sto kilkadziesiąt tysięcy korcy sprzedaje się do Odessy, czasem przez Bug do Gdańska, rzadziej do Galicyi. Mając więc nie olbrzymi majątek, lecz tylko jedną lub kilka wsi, można mieć znaczny dochód. Z takimi środkami po co szukać kariery gdzieindziej? Teraz uprawa roli kosztuje dość drogo; ludność niezbyt wielka a szczególnie oderwanie się od roli dla zyskowniejszej pracy przy kolei jest powodem. Ależ kolej, to arterya, ów gościniec do sto-

sunku z całym światem, wynagrodzi w przyszłym czasie trudność obecnego.

Boh, pod Szczodrową powiększony Wołkiem płynie już otwartą okolicą. Lasów już prawie niema, gdzieś tylko bukiet drzew. Boh rozdzieliwszy się na dwie gałęzie, tworzy rodzaj półwyspu, na którym świeci murami i dawnym zamkiem Sieuiawskich Międzyborz. Półwysep dość stromy. Zamek ma cechy średniowieczne. Przed kilkunastu laty odnowiony, bieleje długą ścianą w zęby i grozi basztami. Ogól widoku piękny. Widać dawny most zwodzony, dziś już osadzon na stałej arkadzie; rozety przez całą długość i obwód muru, pas rzeki w dole głębokim; krzyż świątyni wznosi się po nad mury, a niedaleko za obrębem zamku jest drugi kościół parafialny, wazki a wysoki, z nadgrobkami Esterhazych. Tu w okolicy odegrał się wielki dramat, po którym pamiątki zostały w wysokich mogiłach. Stefan Czarniecki ztąd gromił Rakoczego, i zniewolił do przyjęcia twardych, lecz sprawiedliwych warunków. Wyjeżdżając z miasta, spotyka się kilka murowanych słupów, zabytków tureckiego najazdu. Zaraz za miastem płynie rzeczka nazwana Bożkiem; między nią a głównym Bohem wznosi się miasto. Kilka dróg wysadzonych pięknem już dziś drzewem pobiegło w kilku kierunkach; szkoda tylko że za wazkie. Drzewa podniósłszy się, dały cień; po deszczach ziemia nie łatwo wysychała, drogi więc popsuły się i zwykle jeżdżą po za aleje.

Tu, o wiorst dziesięć leży wioska, odznaczająca się czystością i dobrym stanem wiejskich mieszkań. Każda chatka okrężna, biała, z dziedzińcem oparkanionym; każde okno ma okiennice malowane. Sady zielenieją przy domkach i stoją duże stogi zboża. Wioska nazywa się Karpowcami. Przed piętnastu laty mieszkał tu właściciel tej wioski Kajetan Dorożyński; postać to była sympatyczna. Jeżeli wartość człowieka mierzy się miłością otaczających ludzi, on tę miłość posiadał. Ludzie pracy zwykle chłodni, spotkawszy go, cieszyli się widocznie. Niedosć że im zawsze stawał z pomocą, że każdego podniósł do bytu, że ich sam leczył w chorobach, ale znał każdego naturę; umiał z nimi rozmawiać, trafiać do ich humoru; znał po imionach ich dzieci i pamiętał o ich potrzebach i przyjemnościach. Nieraz przyjechawszy tu, zastawałem go przy robocie wiejskiej, otoczonego kołem słuchaczy uradowanych i ciekawych końca tego, co opowiadał. Chociaż w całej okolicy lubiony i oczekiwany, najlepiej lubiał przebywać w swjej wiosce. Każdego gościa prowadził na wieś, wstępował do chat, chwalił lepsze gospodynie, szczególnie te, u których była większa czystość w mieszkaniach i okrężność koła dzieci. Nieraz z nim siadywałem na ławie w izbie porządniej; okna się odmykały, pościel gruba ale biała, sprzęt gospodarski czysty i dowodzący pewnej zamożności. Nie tylko że znał każdego włóścianina, całą jego rodzinę, ale każdego konia, wołu i krowę; wiedział czyja, czy dobra, najchęćiej na jarmarkach sam ją wybierał.

Był to człowiek dawnego wychowania, uczył się mało, ale miał rozum przyrodzony, serce poczciwe i dowcipu bardzo wiele. Co umiał i wiedział, to z praktyki i nasłuchania się. Bywał w najlepszych towarzystwach, wszędzie lubiony i na swoim miejscu. Ubierał się starannie, jeździł porządnym powozem i dzielnymi końmi. Powozy miewał zagraniczne; ale najczęściej własnej fabryki, którą lubił się zajmować. Inwentarz jego nie wielki, ale dobrany i najlepszego gatunku. Trzeba było widzieć jego woły z rogami ogromnemi, zwykle siwe i tłuste; czasem kupowane w Bałcie na jarmarku, najczęściej swego chowu. Skoroś przyjechał do niego, zaraz cię wiódł do stajni i obór. I warto było chodzić: porządek wzorowy. Lubiał głaskać każde bydło, i ono go lubiało i znało. Wróciłeś z obchodu, aż tu Iwaś prowadzi Mergesza stalowej maści, którego zwykle każdemu pokazywać kazał. Koń ładny, świecący się od szczotki, w trenzli z kutasami. Już od stajni wspinał się na dwóch nogach, dochodził aż do ganku pod wielką topolę. Czasami kazał go przejechać, czasem sam do siadał. Pięknie było patrzeć, jak na żywym koniu słuszny mężczyzna muskularną ręką kierował bystrém zwierzem. Jeździec był wyborny. Trzeba było pójść na jego tok, jaka precyzja w ułożeniu stert, ile tych stert na niewielką wieś, czystość wszędzie, zdaje się każda słomka na swoim miejscu. U wejścia magazyn piętrowy murowany własnej architektury z balkonem, na który często wiódł gości, z widokiem na dziedziniec dworu i całą wieś. Lubiał bardzo młodzież, w rozmowie z poważniejszymi swobodny i grający słowem. Czasem byle koncept się udał bezwzględnie; nigdy młodemu nie dał złego przykładu. Przy młodzieży wazył słowa. Śmiał się tylko z przesadnych i umiał mających pretensję zawstydząć, i to tak zręcznie, że długo się postrzedz nie mogli. Na zgromadzeniach sąsiedzkich zaraz dostrzegłeś, że jest Kajetan, bo przy nim wszyscy się tłoczą, wpatrują zasłuchani; opowiadanie poważnie się toczy, aż nagle szmermel wszystkich rozśmieszy. Szkoda, że czas mi wybił z pamięci anegdota przezeń opowiadane, niektóre żywe i iskrzące myślą wesołą. Możeby poważna nauka starła tę lotność swobodnej i prostej myśli, ale gdyby te zasoby rozwinęły się stopniowém ukształceniem; gdyby ten człowiek miał szersze pole; gdyby się w nim znalazł talent pisarski, byłby to komedio-pisarz pierwszorzędnny. A w każdej jego anegdocie, wyto myślanę na przedce i zawsze stosownę, ile serca i dobrych chęci dla ludzkości. Ile razy zkąd przyjechał, zawsze z drogi przywiózł zapas świeżych opowiadań. Kogoś on spotkał, jakies miał zdarzenie, z uprawy żych opowiadań. Kogoś on spotkał, jakies miał zdarzenie, z uprawy żych opowiadań. Kogoś on spotkał, jakies miał zdarzenie, z uprawy żych opowiadań. Kogoś on spotkał, jakies miał zdarzenie, z uprawy żych opowiadań.

Wyjeżdżać lubiał szczególnie do tych, gdzie gospodarze byli według jego zasad. Najmilszym był gościem. Zaraz zajrzał do wszy-

stkich kątów; porozmawiał ze służącymi, opatrzył dobytek. Jeśli gdzie zastał nieład albo chorobę, zarządził i poprawił. Bawił się z dziećmi, umiał do nich trafiać, że wszystkie go lubiały; choć karpysów nie znosił i nie pozwolił nigdy. Pamiętam raz, przyjechawszy do domu, nie wiedziałem, że mam gościa, z półgodziny byłem zajęty, wreszcie przechodząc przez garderobę, patrzę że on siedzi i płaszcz mój naprawia. Umiał szyć wybornie. Często sam zszywał sukno do wybicia powozów, a skórę to już lepiej umiał szyć od rymarzy. Miał zawsze fabrykę siodła i uprząży, nieraz go widziałem z dratwą w ręku; lubiał chwalić się, jak sam zrobił jaką sztukę. Otrzymałem od niego w prezencie cztery szlejek przezeń uszytych. Często można go było zastać w kuźni przy młocie. Pewnego czasu jacyś państwo jechali wielkim powozem niedaleko Karpowiec. Złamał im się resor; byli w ambarasie, ledwo mogli dociągnąć do wsi. Od kołowrotu postrzegłszy kuźnię, dążą ku niej. W kuźni widzą człowieka w fartuchu, proszą o naprawę, nie odmawia. Prędko i porządnie przekowywa resor, z wielkim zadowoleniem podróżnych. Po skończonej robocie pytają go, kto mieszka w tej wsi, wymienia swoje nazwisko nieznanie im; chcą mu płacić, nie przyjmuje, a zaprasza do dworu, zapewniając, że gospodarz przyjmie ich uprzejmie. Zgadniają się i proszą, żeby ich zaprowadził, bo karczma pewno niewygodna. Prowadzi—wielkie było zdziwienie ich, kiedy w kowalu co się umył i prędko przebrał, poznali właściciela wsi. Oprócz tego, że zajmował się losem i dobrobytem swoich włościan i okolicznych, sąsiedni właściciele mieli w nim pomoc w każdej potrzebie. Mało na siebie tracił, a z porządnego gospodarstwa miał dobry dochód. U niego najłatwiej można było dostać pieniędzy. Sam się dowiedział, gdzie kto potrzebował i nieproszony często przywoził. Sprawy między sąsiadami godził; wyprawy dla żeniących się kupował. Koni bez jego rady nikt nie wybierał. Wiedziałem o kilku jego pięknych czynach, z którymi się tał. Trzech czy czterech młodych ludzi własnym kosztem oddawał do szkół, i potem w uniwersytecie utrzymywał. Wyszli na dobrych lekarzy. Kobięt się bał, zdawało się, że się nigdy nie ożeni, a jednak choć już nie młody, pojął w małżeństwo miłą i zącą pannę. Byłem na jego weselu. Żenowało go, że wbrew zasadom postąpił, ale był potem bardzo rad. Wielka szkoda, że nie długo się cieszył tym związkiem, żona w rok z połogu umarła. Długo, długo nie mógł jej zapomnieć, ile razy o nią mówił, miał w oczach łzy. Syna mu zostawiła, lecz i ten prędko umarł. Wrócił więc do dawnego trybu, i ze dwadzieścia lat użytecznie, poczciwie, miły i pożądanym dla wszystkich, przeżył w swoich Karpowcach. Co rok siódmego sierpnia, na Kajetana, miał duzo gości. Aż raz jeden wróciwszy z utrudzającej podróży, wyszedł na dziedziniec i spostrzegł w sąsiedniej wsi ogień. Wpada na koń, pędzi, rozporządza ratunek; kilka godzin na koniu i chłodzie nie odstępował płonącego toku i tam się przeziębził. Wróciwszy, dostał gorączki i już słabego mocno przywieźli o kilka

mil do brata. Ta podróż, snąc wzmogła chorobę. Odwiedzałem go, a w ostatnich dniach nie odstępowałem. Mimo starań, z silnego tyfusu umarł. Wszyscy go żalowali serdecznie. Choć nie nie pisał, żałuję, że wielu jego opowiadań drgających życiem nie pochwylił na papier. Pomysły miał, a spostrzeżenia robił rozsądne bardzo, dowcipu zaś i soli pełne. Może niektóre w przyszłości dadzą się zgromadzić.

Tu niedaleko od Wołku, przepędził ostatnich kilka lat Franciszek Kowalski, znany w literaturze tłumacz Molier'a i innych ogłoszonych różnocześnie poezyj. Przed przybyciem w tę okolice, ze trzy lata mieszkał w Tulczynie, miał tam czas i zręczność korzystać z zamożnej biblioteki — toż i korzystał. Kiedy go odwiedzałem, pokazywał mi wiele notat i wypisów. Bardzo mu tam było dobrze, nawet pod względem materyalnym. Mieszkał w skrzydle sławnego pałacu u Szczęsnego Potockiego. Stół miał w pałacu, mógł codziennie przechadzać się po świetnych salonach, mieszczących arcy-dzieła malarstwa i rzeźby, i po Choroszym, tak się zwie ogród Tulczyński. Na trawniku ostawionym posągami, jest pyszna altana; trawnik utrzymywany z dziwną elegancją, wygląda na aksamitny kobieriec. Tu on, najczęściej czas trawił i ztąd rzucał się w wodę, oblewającą śliczną wyspę. Kąpał się codziennie od Marca do Października. Czytał mi poezye swoje, mało większych rozmiarów, najwięcej okolicznościowe. Talentu mu nie brakło w rodzaju Beranżera. Warto, by wszystkie jego utwory obaczyły świat. Gdzie są obecnie, nie wiem, ale miał pełne teki. Ztąd przeniósł się do Czerniatyna, pięknej rezydencji nad rzeką Rowein. Własność to była wówczas Witosławskiego. Wykładał literaturę jego córkom. Ztąd kilka razy przyjeżdżał do mnie, i tam go już złożonego chorobą, z której nie powstał, odwiedzałem. Złamany już, nie tracił humoru, zajmowała go literatura. Miał postać dość pospolitą, płeć czarną, brodawki na twarzy. Mówił grubo i tak szybko, że wyraz z wyrazem się zlewał; trzeba było wprawy, żeby go zrozumieć. Umiał kilka języków, trochę muzyki, a conceptów miał pełno. Na ostatnim wyjeździe zatrzymywał mnie; gdy się tłumaczył potrzebą „Wkrótce już pójdę spać, to się nie obaczmy więcej.” Znaczyło to, że się wybierał umrzeć. Tak się i stało. Był ożeniony z Jagielowiczówną, zostawił dwóch synów i cztery córki. Jeden z synów, doktor, ładnie gra na skrzypcach, drugi żołnierz.

Tu także niedaleko mieszkał w Zamiechowie Stanisław Starzyński, tłumacz Matki rodu Dobratyńskich i autor wielu poezyj. To był człowiek bogaty. Zamiechów miasteczko rozległe i handlowe z przyległymi folwarkami stanowiło poważną fortunę. Znałem go zblizka. Postać znacząca. Blondyn, białej i rumianej twarzy; trochę miał powieki jakby przymknięte: dystynkei wiele. Żony nie miał, towarzystw nie bardzo lubił, miał tylko wybrane koło. Śród swoich pełen swobody i dobrego humoru. Lubiał przyjmować

u siebie, bez występu. Najmilsza jego rozmowa była o literaturze. Znał wszystkie europejskie, czytywał niewiele, pisał mało, jednak z kilkunastu lat co tu przeżył, zebrałaby się spora wiązka. Szkoda, że dotąd nieogłoszone. Miał dużo werwy, poglądy zdrowe, dowcip i natychmiastowość. Nagle przyszła mu myśl swój śliczny Zamiechów sprzedać. Spełnił ten nieogledny zamiar. Wziął grubą sumę i zamieszkał czas jakiś w Kamieńcu, gdzie u niego bywałem. W domku małym, na wązkiej ulicy, w powietrzu ściśnionem, po takiej zamiechowskiej przestrzeni. Kupił także dwa kawały wsi, niedaleko Zbrucza, część jednej, część drugiej. Tego to już nie można było zrozumieć. Nakoniec wszystko sprzedał i przeniósł się do Lwowa. Tu już mój z nim stosunek przerwał się. Podobno wziął tam gruby spadek. Po kilku latach dowiedziałem się, że umarł. Szkoda; był to człowiek pełen sił, ukształcony z talentem.

Okolica nadwoleżańska nie liczy się do najżyźniejszych. Są tu płodniejsze i piękniejszego położenia, wielkie przestrzenie ziemi. A jednak, gdyby tak była uprawiona jak należy, nie zostawiałaby nic do życzenia. Gdyby podobna gleba znalazła się w Prusach, lub Królestwie, liczyłaby się do najpiérwszych. Fizyognomia jój ma wiele powabu. Szczególniej jadąc do Deraźni, ze wzgórz ślicznie wygląda; długi pas szerokiej łąki, wiecznie zielonój, przebłytkującej w niektórych miejscach wstążką wody, a po sianokosie jeżącej się stogami siana, nieprzeliczonemi, regularnie ułożonemi, czekającemi zimy aby je zwiéże można. Po nad wzgórze rozsiadły się bielejące wioski, z dworkami i większemi domami gdzie niegdzie. Nad brzegiem Wołczku, jest miasteczko Michałpol, na wzgórze nad wielkim stawem. Ma kościół parafialny nie źle utrzymany, fundacyi Wisłockich; miasteczko było ich własnością, dziś przeszło do Kosielskiego. Zamieszkują go żydzi, kilkanaście domów zajezdnych z daleka nie źle wygląda, ale zblizka, tracą. Co dwa tygodnie bywają tu jarmarki na bydło i konie włościańskie. Są tu komisanci na weinę. Okolica ma dość stad hiszpańskich owiec. Przeszłego roku trwoga się rozniosta spadkiem cen. Doszła wieść, że Australia dostarczyła wielką ilość wełny i ciągle dostarczać będzie; sprzedawano po ośmdziesiąt złotych polskich pud; wielka więc ilość właścicieli sprzedała owce. Tego roku ceny się podniosły do stu dwudziestu, żałuje wielu pośpiechu. Dalój za Wołczkiem, co za Litkami wpada do Wołku, jest piękna wieś Manikowce, własność Ludwika Kosielskiego. Ma dom piętrowy, niemałych rozmiarów, owocowy ogród i przed domem piękny parter. Jest tu cukrownia i gorzelnia. O kilka wiorst leży długim rzędem zbudowana wieś Jaśkowce, własność Bernatowicza. Dom nie piętrowy, ale porządny z pięknym ogrodem. Są tu figarnie, dęby w ogrodzie okazałe, prześliczna aleja, trawniki i kwiaty rzadkie. Deraźnia, miasteczko Stanisława Raciborowskiego, zdaleka czereń wienieje dachami. Ma dom piętrowy i ogród niedawno założony, ale szybko wzrosły. Przed kilkunastu laty prócz dwóch alei li-

powych, był pusty plac, dziś mnóstwo świerków, topol, dębów i krzewów uniejętnie posadzonych, przedstawiają niby stary ogród. Wegetacya tu silna, drzewa rozkoszne. Tuż za domem właściciela wznosi się banhof kolei żelaznej. Pociągi już pędzą, i wąż ognisty dwa razy na dzień, świszcząc, wynurza się z blizkiego lasu. Przyszłość Derażni, obiecująca. Gościniec kolei przed Derażnią przechodzi głębokie jary, szczególnie na Wodzianej, zasypano go wielkim kosztem. Za Derażnią idzie po nad Wołk i w Bohdanowcach go przebywa. Tu niemniej praca była wielka, i tém kosztowniejsza, że całą robotę, wiosenny zalów zepsuł. Już temu poradzono. Za Derażnią po nad Wołk są wsie: Niższe, Czereszeńka, Śnitowka. W każdej duże młyny, gleba kamienista, wypalają się wapna i dobywają młyńskie kamienie. Latyczew, miasto powiatowe, nad Wołkiem, ma do sześciu tysięcy ludności. Kościół słynny odpustami, szczególnie na Jagodne, zbiera się tu kilkanaście tysięcy ludzi. Są tu sklepy i magazyny z dobrymi towarami. Była tu niegdyś rezydencya Połockiego, zwanego Rewera, który zamek swój oddał na kościół. Wielkie lasy podchodziły niegdyś pod same miasto, dziś już wycięte, jednak zajmują jeszcze ogromną przestrzeń. Jest tu dom starościński, dziś marszałkowski i wieża już nadniszczona.

Fr. Kr.

